Krystyna Narwicz

Słuchając różnych krytycznych wypowiedzi lub czytając utrzymane w tym duchu artykuły na temat Polski Ludowej odnoszę wrażenie, iż ich autorzy nie umieją osadzić swych sądów i opinii w realiach zwykłego, codziennego życia ówczesnych ludzi. Dowiadujemy się od nich o narzuconym ustroju, o zbrodniach popełnionych przez władzę ludową na niewinnych obrońcach niepodległości i o szeregu innych podłości. Działań słusznych, potrzebnych, czy wręcz koniecznych w ich mniemaniu nie było, a jeśli nawet się pojawiały, to i tak nie miało to większego znaczenia, gdyż tamta Polska była zbudowana na fałszu i zakłamaniu tudzież deptaniu wszelkich wartości. Na takim założeniu oparli swoje wystąpienia antagoniści Polski Ludowej podczas dyskusji zorganizowanej przez Społeczne Forum Wymiany Myśli 16 września br. w Warszawie.

W moim odczuciu jednak to właśnie ich krytyka jest zbudowana na bardzo wątpliwych tezach. Przyjrzyjmy się ich poglądom bliżej. Po pierwsze dowiadujemy się, iż z rządem lubelskim i wspierającymi go osobami należało walczyć, gdyż byli to zdrajcy na usługach Moskwy. Z jednej więc strony jest przyznanie się do walki, a z drugiej mowa o mordach na bezbronnych, nie stawiających żadnego oporu ludziach. Czy to się z sobą nie kłóci? Nie, jeśli się zgodzimy, iż rzeczywistość była bardzo złożona. Mordy na bezbronnych występowały po obu stronach, z tym, że po stronie władzy dotykały one zazwyczaj byłych członków AK lub czynnych polityków opozycji, po stronie zaś żołnierzy wyklętych ludność cywilną, zwłaszcza wiejską. Znane są przypadki, gdy ich ofiarą padały całe rodziny od sędziwych, blisko dziewięćdziesięcioletnich starców poczynając na kilkumiesięcznych niemowlętach, a nawet psach przyzagrodowych kończąc. I podczas gdy po przełomie październikowym rząd i partia przyznały się do winy, niejednokrotnie przepraszały, a gdzie to było możliwe, rekompensowały wyrządzone krzywdy, to jeszcze dzisiaj zwolennicy Wyklętych mają na ich obronę argument, że takie to były czasy. W moim najgłębszym przekonaniu żadne uwarunkowania i czasy nie dają prawa do takich zbrodni, no ale jeśli mogą one usprawiedliwić zabijanie wozaków z Podlasia, kierowników szkół i nauczycieli, działaczy przeprowadzających reformę rolną, która notabene była w programach wszystkich stronnictw politycznych i zwykłych, szeregowych członków PPR, to dlaczego to usprawiedliwienie nie obejmuje drugiej strony? Ano dlatego, że ona ex definitione była niemoralna, zła, a przede wszystkim oddana Moskwie, niepolska. To się po prostu wie, tego nie trzeba udowadniać! I choć po wrześniu 1939 r. wszyscy mówili, że po wojnie trzeba zbudować inną Polskę, to ludziom, którzy to potraktowali na serio, przypisało się hańbiącą opinię zdrajców.

W tym miejscu nie od rzeczy będzie przywołać słowa D. Wielowiejskiej oraz P. Kraśki, broniących przed J. Kaczyńskim sędziów oskarżonych przez niego o nienawiść do Polski. Oburza ich szczerze zarzucanie braku patriotyzmu ludziom myślących inaczej niż oni. Wielowiejska zapewnia, że nigdy by jej do głowy nie przyszło, by z powodu różnicy poglądów odmawiać patriotyzmu Kaczyńskiemu i oczekiwałaby od niego traktowania przeciwników politycznych tą samą miarą. Trudno się z tym podejściem nie zgodzić. Ale dlaczego ma ono

obowiązywać dopiero teraz, nie obejmując czasów PRL!
Czyżby trud podnoszenia kraju z ruin, zagospodarowanie Ziem Odzyskanych i uparte, konsekwentne zabiegi dyplomatyczne o uznanie przez NRF granicy na Odrze i Nysie to były działania na rzecz obcego mocarstwa? Przecież tym, którzy chcieliby podporządkować nas sobie bez reszty, wygodniej byłoby mieć do czynienia z państewkiem kadłubowym wielkości Księstwa Warszawskiego niż z Polską od Bugu do Odry. Czyżby, dalej, to nie nam, lecz Związkowi Radzieckiemu było potrzebne wyplenienie analfabetyzmu, elektryfikacja, rozwój zakładów przemysłowych, troska o wysoką kulturę?
Na to wszystko wrogowie Polski Ludowej mają jedną odpowiedź. Tak, takie działania były potrzebne, ale przecież czymś trzeba było ludzi przekupić i zamydlić im oczy. Inaczej mówiąc, jeśli ówczesne władze robiły coś dobrego, to było to wymuszone, nieszczere; natomiast gdy wsadzały do więzień lub wprowadzały cenzurę, o, wtedy pokazywały swe prawdziwe oblicze, prawdziwą naturę.
Cóż odpowiedzieć na takie dictum? Na zaślepioną, chorą nienawiść przecież lekarstwa nie ma!
A teraz przejdźmy do sławetnego deptania wszelkich wartości. Jak z licznych wypowiedzi z prasy, radia, czy choćby z omawianego Forum wynika, w gruncie rzeczy dotykało to wartości składających się na demokrację liberalną. Fakt, władze Polski Ludowej nie darzyły jej estymą, choć można by się poważnie zastanowić, czy właśnie poczynania zbrojnego podziemia w jakiejś mierze do tego się nie przyczyniły.
Ale brak jednych wartości nie oznacza życia na aksjologicznej pustyni. Jeden z panelistów sam przyznał, że w Polsce powojennej występowało bardzo silne poczucie wspólnoty. Z własnego doświadczenia wiem, jak trudno się żyje człowiekowi wychowanemu w tamtych czasach dzisiaj, kiedy społeczeństwo uległo daleko posuniętemu zatomizowaniu, a w innych ludziach dostrzega się przede wszystkim zagrażających nam rywali. Dla naszego panelisty jednak jest to mało znaczący drobiazg w porównaniu z brakiem wolności słowa. W mojej hierarchii wartości rzecz się ma dokładnie na odwrót. Podobnie uważam, iż rozbudzenie potrzeby służby krajowi, bardzo silne zwłaszcza w moim harcerstwie, ale nie tylko w nim, dumy z jego osiągnięć (tak, tak, notowaliśmy wtedy niekwestionowane osiągnięcia), z pozycji na arenie międzynarodowej (chociażby stanowisko S. Trepczyńskiego, wiceprzewodniczącego ONZ, która wówczas cieszyła się nieporównywalnie wyższą niż dzisiaj renomą), z szacunku, jakim się cieszył minister Rapacki, troska o język ojczysty, prawdziwy wysyp pięknych utworów literackich i muzycznych wiążących nas uczuciowo z Polską (wszak nawet słynne „Żeby Polska była Polską” powstało w 1978 r.) jest dla mnie wartością nie do przecenienia.
Ale to nie wszystko. Zarzuciłam na wstępie nieustępliwym krytykom minionego 45-lecia, niebranie pod uwagę ówczesnych realiów społecznych, mentalnych, kulturowych. Wyzwolone od hitleryzmu społeczeństwo było przecież wychowane i ukształtowane jeszcze w czasach przedwojennych, a wtedy niestety dość powszechna była mentalność drobnomieszczańska. Kto się nie spotkał z ludźmi tego pokroju, ten nie wie, co to znaczy.
Mojej mamie i jej rodzeństwu nie wolno się było bawić z dziećmi rolników z sąsiedztwa, bo w naszej rodzinie byli wujowie sędzia i kanonik, więc wieśniak to nie było dla nich odpowiednie towarzystwo. I nic w tym dziwnego. Przecież wieśniak to tyle, co cham. Do dzisiaj pamiętam z dzieciństwa piosenkę-skecz o sporze paniusi z miasta z wiejską babiną z tobołami. Całość kończyła się optymistycznym morałem, ale to wygaszenie bzdurnych antagonizmów nie przyszło samo z siebie, trzeba było je dopiero w mozolnej pracy wychowawczej wypracować.
A oto kolejne przykłady. Jedna z moich kuzynek nie mogła się nadziwić swojej młodej znajomej, iż ta nie chce wyjść za mąż za lekarza. Nieważne, co ta dziewczyna do niego czuła ani jakim

był on człowiekiem, liczyło się tylko to, że stanowił dobrą partię. Dziś takie podejście może budzić nasze rozbawienie (choć nie wiem, czy poddawanej presji otoczenia delikwentce również było do śmiechu), ale w tamtych czasach było ono niestety jeszcze dość powszechne. I jeszcze zapamiętane z okresu późnego dzieciństwa wynurzenia właścicielki składu aptecznego, w jakim to nieciekawym środowisku społecznym przyszło nam żyć, bo przecież, panie dziejku, wiadomo, kto to teraz doszedł do głosu. Od razu muszę wyjaśnić, iż nie umiałabym o owej pani powiedzieć nic złego (dobrego zresztą też). Śmieszył mnie jednak ten ton wyższości wynikający z faktu, że ona, bądź co bądź, coś posiada, a lekceważeni przez nią ludzie to przecież bezmajętna hołota. Nawiasem mówiąc, nigdy nie mogłam zrozumieć naszych młodych lewicowców wykrzykujących na manifestacjach zmodyfikowane hasło „Raz sierpem, raz młotem brunatną hołotę". Hołota wszak to inaczej mówiąc biedota, gołota, a my przeciwstawiamy się faszystom nie z powodu ich biedy, lecz poglądów. Co w ustach tamtych nie dziwi, nam po prostu nie przystoi.

Wracajmy jednak do meritum. To, że przedstawione przeze mnie sytuacje należą już (miejmy nadzieję, choć wobec faktu zmartwychwstania drobnomieszczańskiego kołtuna pewności mieć nie można) do przeszłości, nie zrodziło się z niczego. Ludzie nie wyrośli ze swoich poglądów tak, jak się wyrasta z ubrania lub butów. Gdybyśmy żyli w ustroju, w którym o wartości człowieka stanowi jego pochodzenie, urodzenie, czy stan posiadania, wciąż byśmy oceniali ludzi na podstawie tych kryteriów. To nowy ustrój sprawił, iż szanujemy człowieka za to, jakim jest, co sobą reprezentuje, co zrobił dla społeczeństwa. I dlatego ja i moja siostra bawiłyśmy się w dzieciństwie zarówno z córką nauczycielki, jak i dziećmi kościelnego i piekarza. Może mamusia w głębi duszy wciąż pamiętała słowa swojej babci o niewłaściwym towarzystwie, ale nigdy ich nie powtórzyła. Obelga „cham" nie zniknęła z naszego języka, lecz chyba nikt by się nie ośmielił na podstawie jego profesji nazwać tak rolnika, bo ona odnosi się wyłącznie do osobników ordynarnych, niekulturalnych, grubiańskich. Krótko mówiąc, nauczyliśmy się dostrzegać w człowieku człowieka i za jakość tego człowieczeństwa go szanować.

I to jest ta wartość, za którą tak cenię Polskę Ludową, a której nie umiał docenić panelista-polemista.

I na koniec kwiatek z moich lat studenckich. Było to na samym początku lat 60-tych. Studiowałam wtedy na Uniwersytecie Jagiellońskim i równocześnie prowadziłam drużynę harcerską. Jedną z moich harcerek była córeczka znanego krakowskiego chirurga. Pewnego razu musiałam w jakiejś sprawie pójść do jej domu. Zastałam tam babcię, która przyjęła mnie z wyniosłą uprzejmością. Nawet nie żadne tam familiarne: „co cię sprowadza, dziecko", do czego mógłby ją skłonić mój naprawdę bardzo młodzieńczy wygląd, lecz: „kim ona jest, co porabia", a więc typowa formuła stosowana przez wyższe sfery wobec plebsu. Szczerze mnie to rozbawiło, choć w głębi duszy zastanawiałam się, czy starszej pani byłoby choć troszeczkę głupio, gdyby dowiedziała się, że ja jestem panną doktorówną, a właściwie lekarzówną, czyli kimś z jej kręgu towarzyskiego.

Ale mniejsza o tę całą mieszczańską arystokrację z jej wszystkimi fochami i manierami. Chodzi tu o coś znacznie poważniejszego, o traktowanie ludzi jako równych sobie, o ich przyrodzoną godność. Nikt mi nie wmówi, iż stosowanie wobec jednych osób zwrotu: „Pan/pani", a nawet dziś już staroświeckiego „panna pozwoli", a wobec innych czasownika w trzeciej osobie nie jest przejawem w

pierwszym przypadku szacunku, w drugim – takiego a priori lekceważenia.

I tu dochodzę do sedna moich wynurzeń. W przeciwieństwie do jednego z dyskutantów nigdy w Polsce Ludowej nie siedziałam za przekonania w więzieniu. „ Za to" mogłabym powiedzieć, iż

PRL nie dała mi nic, owszem, wiele zabrała. Utraciłam pozycję społeczno-towarzyską, jaką „z automatu" miałabym przed wojną. Teraz na nią musiałam własnymi dokonaniami zapracować. W domu oprócz niani byłaby służąca, co odciążyłoby mnie i siostrę od konieczności pomagania chorowitej rodzicielce w męczących – zważywszy, że wtedy jeszcze nie było pralek – zajęciach domowych. Słowem żyłabym, jak typowa panienka z dobrego domu. A studia i tak bym skończyła, gdyż nie wyobrażam sobie, by w nauczycielsko-lekarskiej rodzinie mogło być inaczej. W pracy zawodowej zarabiałam poniżej średniej krajowej, więc doskonale wiem, co to znaczy liczyć się z każdym groszem.
A jednak mówienie, iż nowemu ustrojowi nic nie zawdzięczam, byłoby nieprawdą. Po pierwsze wdzięczna mu jestem za to, że właśnie niczego nie dostałam za urodzenie, pochodzenie itp., niezależne od mojej pracy i starań okoliczności życia. Stworzył on natomiast szansę lepszego życia wspomnianej już koleżance z podstawówki, a jej bratu pozwolił ukończyć studia, o czym przed wojną nie mógłby nawet marzyć. Po wtóre, dzięki niemu nie zostałam ową panienką z dobrego domu. Lewicowe skłonności tatusia oraz lektura młodzieżowych powieści opisujących międzywojnie i tak pewnie uchroniłyby mnie od tego losu i prędzej poszłabym w ślady M. Falskiej, S. Sempołowskiej, K. Krahelskiej czy Wery Kostrzewy niż rozhisteryzowanej profesorówny z „ Dziewcząt z Nowolipek" lub bezbarwnej i njakiej Emilki, siostry Agnieszki Niechcicówny, niemniej jednak niebezpieczeństwo takie istniało.
Na szczęście udało mi się go uniknąć i znalazłam się w gronie tych, którzy zgodnie z nawoływaniami Wydziału Starszoharcerskiego Kwatery Głównej ZHP zaangażowali się w pracę nad przemianą mentalności młodzieży, w walkę z obskurantyzmem i ciemnotą na rzecz postępu.
A skoro o postępie mowa, to trudno w tym kontekście pominąć Rewolucję 1789 r. i jej idee Egalite, Fraternite, Liberte. Z poszanowaniem tej ostatniej w Polsce Ludowej nie było najlepiej, ale cały mój poprzedni wywód zmierzał do tego, by pokazać, jak wiele się robiło dla równości i braterstwa.
A dzisiaj? Po egalitaryzmie nie zostało śladu, braterstwo występuje w szczątkowej postaci jako działalność charytatywna i wolontariat, a i do przestrzegania wolności obywatelskich też można mieć wiele zastrzeżeń. Po co więc nam była ta cała solidarnościowa rewolucja?!

Krystyna Narwicz